



## BYCIE TAM/ W POLSCE

„Jak to było, być tam?“, zapytała moja studentka.  
Tam to Auschwitz/ Birkenau; tu to sala wykładowa w Newark w stanie New Jersey w styczniu 2004.

Omawiając wspomnienia i autobiografie kobiet, w trzecim tygodniu semestru przeszliśmy z *Dziennika Anny Frank* do książki Charlotty Delbo *After Auschwitz* [Po Auschwitz]. Na poprzednich zajęciach wspomniałam, że minionego lata odbyłam podróż do świętego miejsca Polski. Wyczułam zdumienie połączone z szokiem i przerażeniem. Jeszcze tego samego dnia dałam im do oglądania kilka fotografii pól, baraków i ruin krematoriów Birkenau. Gdy fotografie wędrowały po klasie, my dyskutowaliśmy o pierwszym tomie książki Charlotty Delbo *None of us will return* [Nikt z nas nie powróci]. Mówiliśmy o paradoksie, o jałowej przestrzeni w języku i historii, którą Delbo odmalowuje w powojennym Paryżu, gdzie za pomocą słów przeistacza swoją traumę, wyczekując końca roku.

Kiedy moja studentka niewinnie zapytała „Jak to było, być tam?“, temat ten wszedł do naszej dyskusji jako *non sequitur*. Sięgając po swój pedagogiczny przywilej, wybrałam konsekwencję i uzyskałam trochę czasu; zapewniłam ją i grupę, że powrócę do odpowiedzi nieco później. Na pięć minut przed końcem zajęć, kiedy wiedzieliśmy, że spotkamy się dopiero w przyszły wtorek, wróciłam do odpowiedzi.

Starając się być sumiennym nauczycielem, powtórzyłam pytanie i wzięłam kilka nieśpiesznych, głębokich oddechów – „Jak to było, być tam?“.

Niniejszy esej stanowi kolejną próbę znalezienia odpowiedzi na to celne pytanie. Była to podróż autoetnograficzna i historyczna – odbyłam ją w połowie lipca 2003. W przeciągu dwóch tygodni podróżowaliśmy na wschód, w napiętym oczekiwaniu jadąc z Paryża przez Pragę i Ołomuniec do Krakowa. Wtedy to miał miejsce punkt zwrotny – jeden dzień spędzony w Auschwitz-Birkenau. Ale aby opowiedzieć, jak to było, być tam – stać i spacerować cały dzień po obozie Auschwitz-Birkenau – muszę cofnąć się wstecz, co pozwoli mi posuwać się coraz bardziej do przodu.

Przez całą dekadę wiedziałam, że tam pojedę. Polska od zawsze znajdowała się w moich planach, gdyż rodzice spędzili tam swoją młodość. Dla nich jednak – tak jak dla większości znanych mi osób, które przeżyły Holokaust – Polska była miejscem, do którego nie mieli najmniejszej ochoty wracać przez resztę swego dorosłego życia po wojnie. Jednakże u niektórych otwarcie granic Europy Wschodniej w latach 90. oraz podeszły wiek zmieniły stosunek do przeszłości. Myślałam, że wybiorę się w tą podróż z ojcem, wychowanym w Sosnowcu, do którego po 1942 roku nigdy nie wrócił; mówił, że jeśli zdrowie mu pozwoli, pojedzie tam, jak skończy siedemdziesiątkę. Lecz gdy w połowie lat 90. zbliżały się jego 70. urodziny i nadszedł czas na planowanie wyprawy, wyznał mi, że nie czuje się na siłach. W gruncie rzeczy mój ojciec nigdy nie był obieżyświatem w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa. Mieszkał w trzech krajach i posługiwał się

kilkoma językami, lecz od kiedy jako emigrant przybył do Ameryki w 1950 roku, opuścił ją tylko raz.

Choć urodziłam się w obozie dla przesiedleńców w Bawarii, rodzice przeprowadzili się do USA, kiedy miałam dwa lata. Moje podróże po Europie zaczęły się w 1967 i kontynuowałam je do wczesnych lat 70. Były to czasy, kiedy moja żydowska tożsamość wyrażała się – jeśli w ogóle się wyrażała – w tym, jak bardzo od zawsze czułam się nie-Amerykanką. W tamtym czasie Europa wydawała mi się swojska i frapująca. W roku 1971 na krótko zawiatałam do miasteczka, w którym się urodziłam. Znalazłam się tam żadna przygód, bez zobowiązań, w znikomy sposób świadoma tego, że mam szczęście, że żyję. Będąc dwudziestotrzylatką z amerykańskim paszportem, zapytałam równie młodego niemieckiego żołnierza, czy mogłabym pospacerować wokół bazy wojskowej, w której według moich mglistych przeczuć mieścił się ów obóz przejściowy. Kiedy zmieszany odpowiedział, że turysty nie mają wstępu do tego miejsca, przeżyłam coś w rodzaju łagodnego szoku kulturowego. Nie zwracając uwagi na osobliwość spotkania z tym żołnierzem – gdy język i historia nie były adekwatne do zgłębienia tego, co zaszło między nami – oddalając się od niego, zdałam sobie nagle sprawę, że kiedy moi rodzice mieszkali w tym miasteczku, byli w moim wieku i mieli już za sobą obozy. Obozy te zawsze nazywałam „obozami koncentracyjnymi” – zwrot ten był częścią mojego dziecięcego słownika, zawsze wymawiany jakby na głębokim oddechu, nie posiadał jeszcze skrótowej formy „Holokaust”. Przez 30 lat spotkanie to istniało w postaci anegdoty, do której często wracałam, dziwiąc się, że tak zwyczajnie przyjechałam i wyjechałam z miasteczka Landsberg am Lech.

Tymczasem jesienią 2002 roku wróciłam do Landsberga. Szukałam wydanej niedawno książki o tym miejscu, o której po raz pierwszy usłyszałam w Berlinie. Nie tylko znalazłam książkę, ale szczęśliwym trafem spotkałam miejscowego emerytowanego nauczyciela historii, którego córka, Edith Raim, była autorką tej ilustrowanej historii miasta zatytułowanej *A Place like any Other* [Miejsce jak każde inne]. Dzięki pomocy jego i jego przyjaciela Antona Lichtensterna – członka rady miasta i autora pieszego przewodnika po Landsbergu – opuściłam miasto obławowana materiałem na temat okresu powojennego, w tym kopiami mojego aktu urodzenia i aktu ślubu rodziców.

Książka Raim stanowiła fotograficzną historię tego miasteczka, które było zarazem *podobne* i *różne* od innych niemieckich miasteczek epoki nazistowskiej. Przed wojną Landsberg był często odwiedzany przez zwolenników Hitlera, który odbywając w mieście karę więzienia, podyktował tu *Mein Kampf*. Po wojnie miejscowy garnizon wojskowy został przekształcony w jeden z największych obozów przesiedleńców w amerykańskiej strefie okupacyjnej. To właśnie ta wizyta



w Niemczech w 2002 roku, kilka lat po tym, jak w wieku 74 lat umarł mój ojciec, doprowadziła do mojej decyzji o odwiedzeniu Polski minionego lata.

A więc „jak to *było*, być tam?”

• Pewnego popołudnia gdzieś na polskiej wsi.

Był sobotni poranek, 8:30. Nasz samochód jako pierwszy zatrzymało się na niewielkim parkingu; jakiś autokar wysadził właśnie pasażerów, który udali się do Muzeum Auschwitz-Birkenau. Próbując ogarnąć fakt, że się tam znaleźliśmy, zawahaliśmy się na moment – nie wiedzieliśmy, w którą stronę ruszyć. Nie wyciągaliśmy aparatu aż do momentu, kiedy dowiedzieliśmy się, że jedziemy kilka kilometrów dalej, z Auschwitz do Birkenau. Lecz przez następne kilka godzin przemierzaliśmy obie strony ulicy, na której znajdowały się prymitywne ceglane baraki obozu – obecnie pawilony poświęcone państwu, których obywatele zginęli w tej hekatombie. Nie wiedziałam o tym tamtego ranka, ale po południu obóz Auschwitz I stopniowo zaczął nabierać niemalże intymnej skali, po tym, jak wchłonęliśmy ogrom przemysłowego obozu śmierci w Birkenau.

Byliśmy piątką przyjaciół, którzy przemierzali, w grupie lub pojedynczo, kameralne uliczki kompleksu wojskowego w Oświęcimiu – mieście przemianowanym i przerobionym na Auschwitz.

Byliśmy piątką odizolowanych ludzi, których wyobraźnię rejestrowały okrucy historii, które tu przynieśliśmy: Eva, Nick, Andy, Jim i ja. Tego dnia przynieśliśmy różne rzeczy. Eva i Nick byli już w Auschwitz poprzedniego lata, lecz było wtedy późno i nie zdążyli zobaczyć Birkenau – chcieli wrócić tam z nami. Przyjechali więc nocnym pociągiem z Ołomuńca do Krakowa i wyruszyliśmy po śniadaniu; towarzyszył nam lekki niepokój, czytaliśmy na głos kolejne opowiadania Kafki w wynajętej niebieskiej Skodzie; pięcioro nas stykało się na siedzeniach; nasze głosy kolorowały powietrze. Przez większość dnia jechaliśmy w milczeniu; czasem odzywaliśmy się, a słuchający z reguły milczał do momentu, gdy czuł potrzebę zabrania głosu. Trzymaliśmy się blisko siebie, starając się zachować dystans. W dużej mierze byliśmy sami pośród ogromu tego, o czym wiedzieliśmy, że nie było miejscem dobrowolnej samotności.

Nie wiem, czy potrafiłabym odpowiedzieć na pytanie, jak to jest, być tam, nawet wówczas kiedy tam stałam, szłam wzdłuż torów, patrzyłam na żwir przebijany przez dzikie kwiaty, spoglądając na bezkresne pola i próbując zapamiętać wskazówki ze schematu sytuacyjnego przy bramie. Więc tu były kobiety z Węgier, tu znajdował się obóz Cyganów, a tu francuskie więźniarki (wśród nich Delbo) – mapa bez wątplenia jednego z najniższych kręgów piekła XX wieku. Zastanawiam się, jak „gdzie indziej” staje się doświadczeniem, w miarę jak opisujemy je, wróciwszy z powrotem.

Spoglądaliśmy na siebie i doglądaliśmy się nawzajem, podczas gdy nasze wyobraźnię próbowały zrozumieć to miejsce, o którym Jim powiedział, że ma preczucie, jakby znał je od zawsze. Czy w naszej wyobraźni po Holokauście nosimy sceny z połowy lat 40. XX wieku? Poprzednie stulecia składały nadwyżki swoich bezimiennych, niezliczonych zmarłych w katakumbach; artyści wojny i ciała ukazywali ich za pomocą pióra i pędzla. Fotografia i kino przyobiekły się w cielesność i sprawiły, że przeszłość przesuwa się na naszych oczach. A teraz w epoce aparatów cyfrowych potrafimy według własnego kaprysu wychwytywać i wymazywać to, o czym już wiemy, że wykracza poza wypowiedziane słowa.

A jednak każde z nas zostało tu przyciągnięte przez słowa, które czytaliśmy, którymi myśleliśmy, uczyliśmy i z którymi od lat zmagaliśmy się. Jim i ja, nigdy o tym otwarciu nie mówiąc, jakoś wiedzieliśmy, że kiedyś razem pojedziemy do Auschwitz. On urodził się w niewielkim miasteczku w Karolinie Północnej w 1945 roku – ja w obozie dla uchodźców w Bawarii w 1948. Poznaliśmy się, ucząc francuskiego, teraz od już 20 lat jesteśmy dozgonnymi przyjaciółmi – poświęciliśmy mnóstwo czasu na opisywanie hańby i Shoah. Nasi znajomi przebywali wówczas w Pradze. To było idealne lato na wizytę w Auschwitz. Chcieliśmy pojechać stamtąd do Krakowa. To był odpowiedni moment. Dla mnie podróż ta była krokiem wstecz w język moich rodziców i rodzinne miasto mojej matki – Kraków.

Rozważmy powikłania lingwistyczne, polityczne i historyczne: był lipiec 2003. Polskie wojsko zostało niedawno wysłane do Iraku, aby wspomóc Amerykanów. Pewien starszy Polak, słysząc jak mówimy po angielsku na parkowej ławce, przyłączył się do nas na chwilę, wystarczająco długą, by zdążyć wypróbować na nas swój skromny angielski: *George Bush – great man* [George Bush – wielki człowiek!] Przez naszą nieznajomość polskiego, wszystko, co chcieliśmy mu odpowiedzieć, musiało pozostać niewypowiedziane. Być może jeszcze bardziej niesamowitą rzeczą była muzyka dochodząca z pobliskiego placu – *Hava Nagila* na akordeonie. Nie wiedzieliśmy wówczas, że coroczny Festiwal Kultury Żydowskiej zakończył się przed paroma dniami tuż przed naszym przyjazdem. Wiedzieliśmy jednak, że byliśmy częścią zjawiska turystyki obozowej. W recepcji hotelu znajdowały się fotosy przedstawiające miejscowe atrakcje i informacje o autokarach wycieczkowych do Zakopanego; tuż obok leżała broszura o Oświęcimiu-Brzezince, Auschwitz-Birkenau.

Szczęśliwy splot przypadków akademickich naprowadził nas na Mariusza Czaję, który jesienią wybierał się do USA by prowadzić badania do pracy doktorskiej. Spotkaliśmy się w barze, w którym wdaliśmy się w rozmowę; później oprowadził nas wieczorem po Rynku Głównym. Przeszukiwałam kawiarnie, zastanawiając się, gdzie moja matka mogła wychodzić z rodziną podczas specjalnych okazji. Gdzie mój dziadek – żydowski prawnik, który być może mieszkał gdzieś na Kazimierzu – mógł zabierać moją mamę i jej siostrę bliźniaczkę, kiedy były dziewczynkami w Krakowie lat 20.? Podczas tej dwudniowej wizyty nie znałam polskiego wystarczająco dobrze, by dowiedzieć się, gdzie mogli mieszkać, ani hebrajskiego, by odnaleźć rodzinne groby na żydowskim cmentarzu, na którym być może chowane były poprzednie pokolenia. Lecz nie szukam takich szczegółów – szukam leśnego światła, zapachu ulic, rynków i piekarni, dźwięku przechodniów w różnym wieku i z różnych środowisk mówiących po polsku do mego ucha, właściwości kamienia, drewna, metalu ziemi i rzeki, smaku pierogów na ulicy, wyrazów twarzy tych, pośród których ktoś taki jak ja mógł dorastać w innym świecie i czasie.

„Jak to było, być tam?”

W Auschwitz, wczesnym rankiem, znalazłam się sama w komorze gazowej. Pomieszczenie było puste, oświetlone kilkoma nieosłoniętymi żarówkami u sufitu; pośrodku na podłodze znajdowała się żelazna kandelabra, w której migotały światła wiecznych lampek. Jakaś częśćka mnie czuła, że mogłabym po prostu zemdleć i zostać właśnie tu, ogarniając to, co miało tu miejsce. To pomieszczenie, ta komora – przestrzeń, której wymiary zmierzyłam swoimi krokami, wspomnienie jej ciemnej pustki, która potrafi dziś do mnie powracać.



W Birkenau, po południu, tak wiele rzeczy rozdziela serce i umysł: rząd za rzędem trzypoziomowych pryczy, na których spali ludzie, pożyczając ze zbiorowego życia ciepło, z trudem przepływające z ciała do kości i z powrotem. Rozklekotany wózek stojący przed budynkiem z wieloma kominami, który służył za kuchnię. Ten wózek z pewnością przewoził zwłoki. Droga idąca przez środek obozu – Lagerstrasse – tu dokonywała się selekcja i stąd szło się bezpośrednio do miejsca śmierci. Lecz oprócz obrazów były też dźwięki: ptaki, krowy, psy gdzieś w pobliżu, zza ogrodzenia wciąż okalanego drutem kolczastym, który niegdyś był pod napięciem; gdy szliśmy do krematoriów i pobliskiego miejsca pamięci

Fran Bartkowski

*Spacerując po Krakowie*

Gdy przyjeżdżamy  
wita nas szara chmura  
To tylko smog.

Potem nadchodzi burza  
oglądamy ją z holu w hotelu.  
To tylko pogoda.

Wyruszamy na poszukiwania.  
W naszej przygodzie  
czujemy się niepewnie.  
„Jesteśmy w Polsce”  
powtarzamy sobie.

A kiedy Polak  
we francuskim berecie  
nalega, by uścisnąć  
nasze amerykańskie dłonie  
i pocałować moje,  
widzę w jego ukłonach i skłonach  
łuk pleców mego ojca  
gdy idzie  
ze splecionymi z tyłu  
rękami  
nieomylna oznaka  
wolnego czasu

naśladując starszków  
których podglądał w pewnej mieścinie  
mniej światowej niż to miasto  
mające za sobą epizody  
krzywdy i kłęski  
chluby i chwały.

najbardziej zagadkowy był pewien piskliwy dźwięk – nie wiedzieliśmy, co słyszymy, zwierzę czy maszynę – lecz to coś wyrażało groźbę doświadczaną przez nas w tym miejscu. Uznaliśmy, że to musiała być jakaś piła z pobliskiego gospodarstwa – ale to jak przeszływało powietrze tego letniego dnia tak bardzo współgrało z niepokojem, który towarzyszył naszemu pobytowi tam. Wyrażało żalobną niezwykłość, która wypełniała ciszę wokół nas.

Istnieje fotografia pewnej chwili tego dnia, na której cztery osoby spośród naszej piątki znajdują się fizycznie bardzo blisko siebie, a jednocześnie każda z nich stoi osobno, spoglądając w różnych kierunkach, marszcząc brwi, mrużąc oczy. Na naszych twarzach maluje się zawahanie przed poruszeniem się, mówieniem, zdobyciem się na wypowiedź. Nie wyobrażałam sobie, że znajdę sposób na to, by opowiedzieć ten dzień; a słowa, które przychodziły, zdumiewały mnie swoją eliptyczną orbitą, po której krążyły wokół „tam” tego miejsca. Zbyt wiele miejsc na ziemi kryje w sobie pola śmierci; upamiętnianie śmierci na masową skalę w coraz większym stopniu staje się częścią publicznego dyskursu, szczególnie po 11 września 2001. Być może moja pewność, że odbędę tę pielgrzymkę, jest dla mnie bardziej zrozumiała teraz, gdy skupiam się na mojej teraźniejszości, na tych gorączkowych wysiłkach, aby stworzyć miejsce, które ludzie będą odwiedzać, aby upamiętnić zmarłych. Dzieje się to tu, gdzie mieszkam, po drugiej stronie rzeki od miejsca, które być może już zawsze będzie nazywane Ground Zero, jak gdyby te słowa przez ten czas czekały na swój odpowiedni desygnat.

*Walking in Krakow*

A gray cloud greets us  
on arrival.  
It's only pollution.

Then comes a thunderstorm  
we watch from the hotel lobby.  
It's only weather.

We begin to explore.  
We are tentative  
in our adventure.  
„We are in Poland,”  
we reiterate.

And when the Pole  
wearing a French beret  
insists on shaking  
our American hands,  
and kissing mine,  
I see in his bowing and bending  
the arc of my father's back  
as he walks  
hands clasped  
behind him  
some sign of  
leisure time

imitating the old men  
he watched in a small town  
less worldly than this city  
with its histories of  
sacking and surrender  
and glory and grandeur.



Chodzę krokami  
mojej matki  
zgadując dokąd  
wiodły ją  
z Kazimierza  
niedzielne spacery  
gdy odważnie wypuszczała się  
na szeroki świat.

it's my mother's steps  
that I am walking in  
wondering where  
from Kazimierz  
she might have  
strolled Sundays  
adventuring into  
broader avenues.

Fran Bartkowski  
Arbuz

*Arbuz*

Byłeś moim arbuzomanem  
gdy nadchodziło lato  
przewracałeś oczami  
oblizywałeś wargi  
i pomrukiwałeś  
w oczekiwaniu

You were my watermelon man  
Summer would come  
and you'd roll your eyes  
lick your lips  
and hum in  
anticipation

na jedną  
z wielkich  
czerwonych  
przyjemności  
życia

of one of life's  
great  
red  
pleasures

„Arbuz”, mówiłeś po polsku  
jakbym powinna wiedzieć  
razem z tobą  
jak bardzo przywołuje to  
czas miniony  
czas stracony

“Arbuz,” you'd say  
as if I should know  
with you  
how it conjured  
time past  
time lost

każde lato  
twojego dzieciństwa  
w tej  
wiejskiej okolicy

summers of your  
childhood  
in this  
countryside

w której obecnie jest  
połowa lipca  
i  
arbuzy  
leżą dojrzałe  
przy drodze

where it is now  
mid-July  
and the  
arbuz  
are ripe  
along the roadside

Nie zatrzymujemy się  
by kupić je  
wracamy  
w stronę granicy

We don't stop  
to buy  
we are making our way  
back across the border

opuszczamy ten kraj  
jego zrujnowane krematoria  
i trzygwiazdkowe hotele

away from this country  
with its ruined crematoria  
and three-star hotels

i nienawiść do Żydów  
która nie ustaje  
choć Żydzi odeszli

and jew-hating  
that doesn't quit  
though the jews are gone

Przełożył Justyn Hunia

